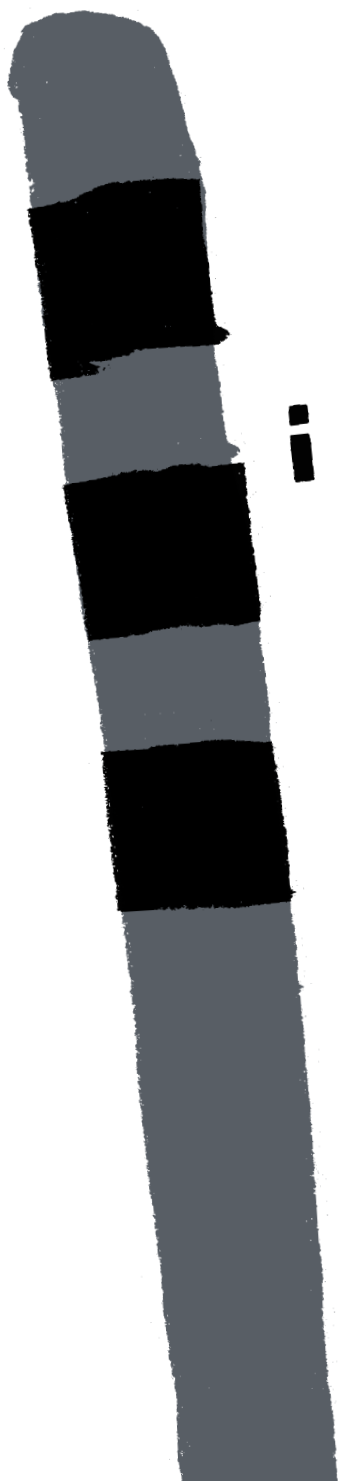


L i c h o

i i n n i



Spis treści

Wioska inna niż inne wioski	4
Licho	6
Niebożęta	8
Boginki	10
Dziwożony	14
Wiedźma spod Dębu	16
Olbrzym	18
Utopce	20
Górska parzenica	22
Pas łoświcki	26
Kurpiowskie czółko	30
Chusty chochołowskich gaździn	34
Zakopiańskie kerpce	38
Koniakowskie koronki	42
Pociąg	46



A g n i e s z k a

T a b o r s k a



I l u s t r o w a ł

L e c h M a j e w s k i

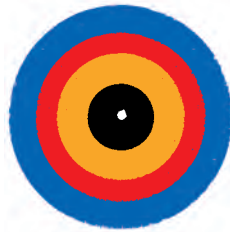
M o j e j M a m i e,
k t ó r a c z y t a ł a m i b a j k i

Wioska inna niż inne wioski

Pewnego razu trafiłam do mazowieckiej wioski. W wiosce – jak to w wiosce – były drewniane chałupy błękitne, w nich izby bielone, na każdej chałupie strzecha pełna koników polnych. W oknach dygoczące od upału czerwone pelargonie, drzwi zwaliste i skrzypiące, do których otwarcia trzeba było niekiedy czarodziejskiej różdżki. Przed każdą chałupą drewniana łąwa, a w niej rodzina uwijających się dniem i nocą korników. Kto przyłoży ucho, usłyszy ich pracowite stukania. Na każdej ławie siadywała niegdyś gospodyni w kolorowej spódnicy i dumiała nad wszechświatem. Za chałupą kamień polny, o którym gospodarze powiadali, że go za dziada pradziada babki prababki podrzucił Olbrym.

Między chałupami droga piaszczysta, wiodąca nad staw. W stawie – jak to w stawie – mieszkały Licha i Boginki. Wokół stawu rosły wierzby rosochate, szumiące, pełne dziupli. W dziuplach Krasnoludki, Niebożętami zwane. Nad wioską, nad stawem niebo bez chmurki, w rozgrzanym powietrzu zapach macierzanki. Trudno się jednak wszystkiemu dokładnie przyjrzeć, bo słońce świeci prosto w oczy, a mieniająca się w jego blasku ważka cały czas ściąga na siebie wzrok.

Niewiele więc brakowało, bym poszła dalej, nie zauważając, że ta wioska jest niby jak inne, a jednak od innych inna. Nie ma w niej bowiem mieszkańców. Nie ma pyzatyh gospodyń ani gospodarzy o żylastych dłoniach. Nie ma umorusanych dzieci ani psów Burków w kolorze błota. Nie ma kowali, nie ma karczmarzy, nie ma babuleńki zbierającej zioła, ani nawet dzwonnika drzemiącego przy kościelnej wieży. Jest tylko strach na wróble i dziwny kot. Niby to kot, ale bardziej z bajki niż z życia, bo niebieski w żółte paski. I gdy tak się dziwiłam, kot nie kot podszedł tuż-tuż, otarł się porozumiewawczo o moją nogę, mrugnął i lewym wąsem dał mi znać, by pójść za nim. Ruszyliśmy piaszczystą drogą nad stawem, w którym pluskały się Licha i Boginki. Przebiegliśmy przez zagajnik, gdzie zza drzew machały do nas Dziwożony.

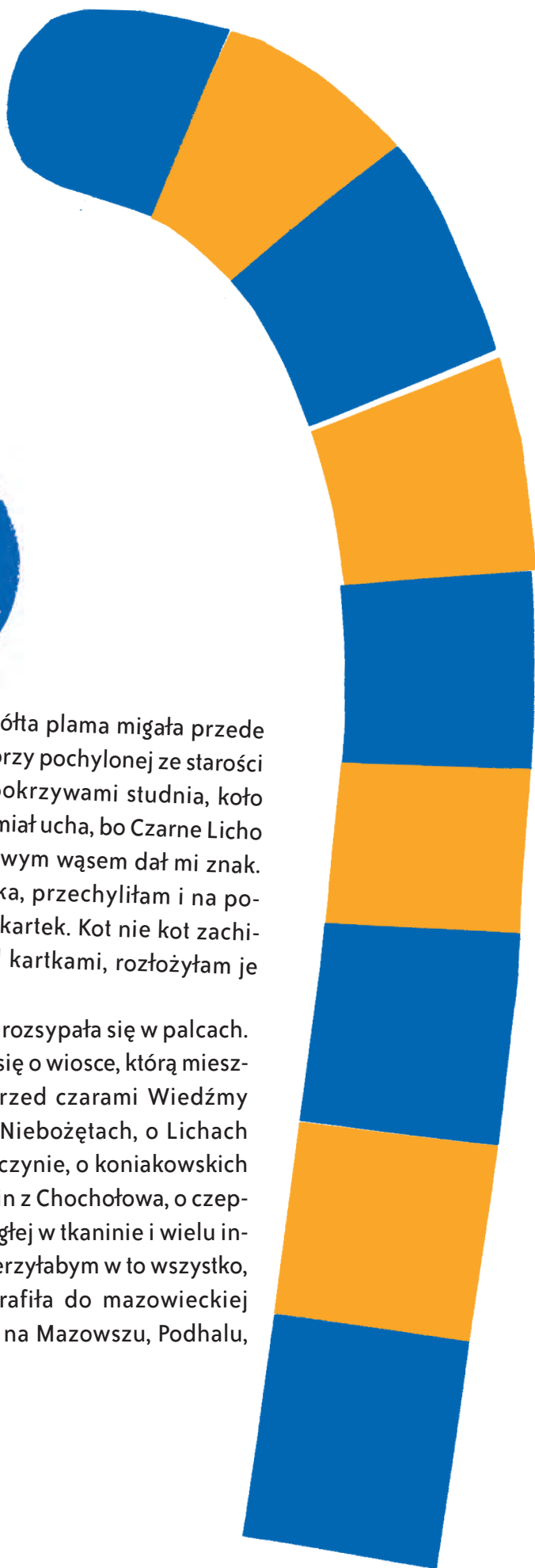


Szliśmy pod wierzbami, w dziuplach których odpoczywały w hamakach Niebożęta. Maszerowaliśmy wśród błękitnych chałup, a nad głowami koncertowały nam koniki polne. Już mieliśmy przysiąc na drewnianej ławie, w której rodzina korników odprawiała właśnie wesele, gdy kot nie kot zobaczył mysz, szarą polną myszkę, i pomknął za nią, zapominając, że jest kotem z bajki. Jednak i mysz okazała się myszką z bajki, więc zagrała mu chudymi łapkami na spiczastym nosie i zniknęła, nim odbiegł za daleko.



Po chwili ruszyliśmy dalej. Niebiesko-żółta plama migąta przede mną w morzu zieleni, aż zatrzymała się przy pochylonej ze starości chatynce. Koło chatynki była zarosta pokrzywami studnia, koło studni leżał gliniany garnek. Garnek nie miał ucha, bo Czarne Licho dawno temu je obtukło. Kot nie kot prawym wąsem dał mi znak. Podniosłam garnek, zajrzałam do środka, przechyliłam i na pokrzywy wysypał się deszcz poźółtkłych kartek. Kot nie kot zachichotał cicho i znikł. Pochyliłam się nad kartkami, rozłożyłam je wśród pokrzyw, zaczęłam czytać.

Kartki były tak stare, że część rozsypała się w palcach. Z pozostałych dowiedziałam się o wiosce, którą mieszkańcy opuścili ze strachu przed czarami Wiedźmy spod Dębu. Przeczytałam o Niebożętach, o Lichach i Utopcach, o magicznej pajęczynie, o koniakowskich koronkach, o chustach gaździn z Chochołowa, o czepcach Kurpianek, o tęczy zastygłej w tkaninie i wielu innych cudach. Pewnie nie uwierzyłabym w to wszystko, gdybym przypadkiem nie trafiła do mazowieckiej wioski, innej niż inne wioski na Mazowszu, Podhalu, Kaszubach, Kurpiach...




Licho

Czarne Licho mieszka na dnie jeziora Gopło. Ma czarny łeb, czarny brzuch, czarne łapy i czarny ogon, nawet jęzor ma czarny i czarne myśli pod czarną czupryną. W dzień śpi pod pierzyną z mułu, w nocy pracuje. Gdy śpią gospodarze, tu im coś nadłtucze, tu popłącze, tam nadpsuje. Praca Licha jest licha, bo Licho nigdy nie doprowadza niczego do końca. Ot, choćby postanawia zbić gliniany garnek, w ostatniej chwili jednak zmienia zamiar i tylko obja ucho. Albo zamiast, jak planowało, połamać gospodyni kołowrotek, jedynie płącze jej przędzę. Dzieciom nie kradnie wszystkich zabawek, lecz tylko te, które lubią najmniej. Psu nie zabiera budy, ale ustawia tak przemyślnie, że od tej pory zawsze wieje w nią wiatr i leje deszcz. Kotu tak namiesza w łebku obiecankami morza smażonych rybek, że ten przestaje łapać myszy i miauczy z głodu. A mysz, której Licho przyrzekło złote góry sera, nic innego nie robi, tylko śni, że siedzi na szczycie Giewontu z ementalera.

Tak Czarnemu Lichu mija nocą czas na szeptaniu w uszy śpiącym obiecank-cacanek. Rankiem ludzie i zwierzęta święcie wierzą, że to wszystko najprawdziwsza prawda!

Na dnie jeziora Czarne Licho nie mieszka samo, lecz w towarzystwie innych Lich. Tamte Licha – skrzydlate, rogate i kudłate – różnią się od niego kolorem. Bywają słomkowe, poziomkowe, fiołkowe i nawet barwy opływającej je wody. Kolorowe Licha są od Czarnego mniej pracowite, ale równie złośliwe i rozmyślane w czynnościach niedokończonych. Toteż część nocy spędzają zwykle na nadpsuwaniu świata: nadrywaniu, nadgryzaniu, rozklejaniu, podłamywaniu i przestawianiu rzeczy w inne miejsca. Gdy słońce wstaje nad lasem, Licha czmychają na dno jeziora, zadowolone, że znowu udało się im trochę na świecie namieszać...





Dawniej Licha pomieszkiwały głównie w wielkopolskich wsiach, przed miastami czując respekt. Wszystko się zmieniło, od kiedy Czarne Licho zawróciło w głowie pewnej poznańskiej papudze. Przekonała ją, że wyrosną jej nowe pióra, które swymi kolorami przyćmią barwy tęczy. Omamiona tą obietnicą papuga tak pracowicie zajęła się wrywaniem sobie starych wypłowiałych piórek, że wkrótce była łysa niczym podana na półmisku pieczona kaczką. Tak zaczęło się panowanie Lich w Poznaniu, a potem i w innych miastach.

Od tego czasu nie sposób znaleźć w Polsce miejsca, gdzie by się nie wdarły. Wystarczy rozejrzeć się wokół: ciekące krany, skrzypiące schody, zacinający się klucz i wypadające z drzwi klamki – wszystko to jest sprawką Lich! Nie wiadomo skąd – przez wieki siedząc na dnie Gopła – dowiedziały się prawdy o ludziach: że tylko co setny człowiek naprawi kran, naoliwi zamek i wymieni klamkę. Reszta poczeka, aż rzeczy nadpsute zepsują się do cna. Toteż Licha wylegają się w bagnie, zacierając z uciechy brudne włochate łapska. Tak im łatwo i przyjemnie nadpsuwać świat, który przez ich sprawki zacina się, skrzypi, rżęzi, rozsypuje i toczy się dalej. Aż do następnej wizyty Czarne Licha.

Dlatego lepiej nie mącić w Goplu wody. Może którejś nocy Licha zasną tak mocno, że zapomną o psuciu i nadgryzaniu? I wtedy znów zapanuje święty spokój. I nikt nie będzie się bał, że ktoś mu we śnie namiesza w głowie. A jeśli Licha gdzieś się jeszcze wówczas z dna Gopła ruszą, to tylko na strony książek. Ale stamtąd nie zepsują już niczego...



Niebożęta


Niebożęta – zwane też Kraśniętami, Piędzimiężykami, Domownikami, Latawcami, Skarbkami, Karzełkami lub Krasnoludkami – mieszkają pod muchomorem, w dziupli, w łupinie orzecha. Czasem dzielą norkę z kretem. Zdarza się, że wspinają się na dach, by znaleźć schronienie w bocianim gnieździe. Dawniej pomagały ludziom. Usiłowały naprawić wszystko to, co zepsuło Czarne Licho. Wielką radość czerpały ze sprząwania, cerowania, podlewania, przynoszenia potrzebnych rzeczy i odnoszenia ich na właściwe miejsce. Gospodynie tak przywykły do krzątających się po izbie ludków, że prawie ich nie zauważały. Czasem tylko stawiały im w kącie miskę z kropelką mleka i łyżką kaszy okraszonej skwarką.

Gospodarze w polu wiedzieli, że w południe gromadka duszków w rudawych ubrankach z zajęczej sierści przytaszczy im kubek wody i pajdę chleba. Kowale nie szukali długo młota ani obcęgow, bo same do nich sunęły, pchane przez dziesiątki pracowitych rączek. Dzieci w kotłusce zapominały o płaczu, kiedy pochylały się nad nimi roześmiane brodate twarzyczki. Nawet psy nie musiały się drapać, bo Niebożęta cierpliwie wytapowały im pchły. Koniom zaś tak pięknie plotły grzywy, że siwki i kasztanki stawały się najbardziej próżnymi mieszkańcami zagrody i nic innego nie robiły, tylko podziwiałały w potoku własne odbicia.

Gdy Niebożętom udało się na chwilę wyrwać z gospodarstwa, zaraz pędziły do lasu. Rankiem rozchylały płatki kwiatom i prostowały skrzydła wykluwającym się z kokonów motylom. W południe zastępowały w śpiewaniu zmęczone upałem ptaki. O zmierzchu wiodły sarny do wodopoju. Nocą wędrowały leśną ścieżką, przyświecając sobie kawałkiem próchna i odganiając sowy od cudzych gniazd.

Ani ludzie, ani zwierzęta nie wyobrażali sobie bez Niebożąt życia. Tak było długo, bardzo długo.





Aż pewnego słonecznego ranka Niebożęta przestały pomagać. Dlaczego – nie sposób dziś dociec. Może rozleniwiła je letnia pogoda? Może przstraszyła dziewczynka, która zbyt długo chodziła ścieżką w lasu przy plaży, wykrzykując ten sam refren: „Krasnoludki, krasnoludki, nie uciekajcie!”. A może uważały, że ich pracę nie dość się ceni? Tak czy inaczej, ni stąd, ni zowąd, gospodynie nie mogły dać sobie rady w kuchni, gospodarze na polu słaśli z głodu i pragnienia, dzieci płakały w kołyskach, psy nie umiały opędzić się od pcheł, a końskie grzywy zbijały się w kołtuny.

Nie dość, że Niebożęta nie pomagają już ludziom, psom ani koniom, ale przybierają nie swoje postaci. Podszywają się to pod świeżo wyklute bocianiątko w gnieździe na dachu chałupy sołtysa, to pod zajadające kawał dziurawego sera myszy, to pod ponurego Olbrzyma, odwiedzającego jesienią słowiańskie krainy. Zdarza się, że bura myszka spojrzy na gospodynię błyszczącymi krasnalimi oczkami, lecz zaraz wraca do zwierzęcego wcielenia. Przebieranki te jeszcze bardziej mącą ludziom w głowach.

Mądre Wiedźmy twierdzą, że Niebożęta wrócą. Pewnie wtedy, gdy najmniej będziemy się ich spodziewać. A może gdy całkiem o nich zapomnimy? W każdym razie pewnego deszczowego ranka zjawią się, by podać nam parasol lub naprawić zepsutą wycieraczkę w samochodzie. Dlatego – dopóki ukrywają się w nie swojej skórze – lepiej odnosić się do świata z szacunkiem. Nigdy bowiem nie wiadomo, czy mamy do czynienia tylko ze starą sprzączką przeznaczonego na śmietnik buta, czy też może przyczaił się w niej Krasnoludek, inaczej Niebożęciem zwany. Bo świat jest pełen tajemnic, niezwykłych zdarzeń oraz stworzeń przemienionych w coś lub kogoś innego. Toteż widząc wyglądające z gniazda pisklęta z rozdziawionymi dzióbkami, nie możemy być pewni, czy to nie przebranie. Czy przypadkiem w ptasie piórka nie ubrały się brodate ludki o pomarszczonych twarzyczkach.

Kurpiowskie czółko

Pewnego ranka Jadwisia wracała z targu. W koszu niosła pietruszkę, czereśnie, ser oraz rybę, która jeszcze godzinę wcześniej pluskała się w jeziorze przy rozczochranej wierzbie. Droga wiodła przez miasteczko, pole i Puszcze Białą.

W ożywionej dziwnymi cieniami puszczy jak zwykle zastąpiły Jadwisi drogę Krasnoludki, które właśnie tańczyły wokół ogniska.

– Jadwiś, Jadwiś, co niesiesz w koszyku? – spytały.

– Niosę pietruszkę, czereśnie, ser i rybę, która jeszcze godzinę temu pluskała się w jeziorze przy rozczochranej wierzbie – odpowiedziała jak co dzień.

– Daj je nam – jak zawsze poprosiły Krasnoludki.

I, jak zawsze, Jadwisia odmówiła:

– Czereśnie są dla mnie, pietruszka dla mojego męża, a ser i ryba dla gości, którzy odwiedzą nas wieczorem i którzy nie jedli od siedmiu dni i siedmiu nocy.

I poszła dalej, a Krasnoludki zostały w leśnej kryjówce, marząc, że ktoś kiedyś podzieli się z nimi pietruszką, czereśniami, serem i świeżo złowioną rybą. Taki bowiem miały od dawna kaprys.

Wszystko pewnie potoczyłoby się dalej jak zwykle, gdyby nie sen, który Jadwisia miała tej nocy. Przyśniło się jej, że jest królową, siedzi na górze usypanej ze szlachetnych kamieni, jedną ręką chłodzi się wachlarzem z pawich piór, a drugą przesypuje szmaragdy i diamenty. Co zaś najważniejsze, na głowie ma złotą koronę!

Rano wstała rozmarzona i poszła na targ. Handlarze od razu spostrzegli, że jej myśli zaprzęta coś innego niż ich kolorowe stragany. Skąd jednak mogli wiedzieć, że to złota korona?



Wracając z targu, Jadwisia jak zawsze spotkała Krasnoludki.

- Co niesiesz w koszyku? – spytały, lecz ona nie traciła czasu na wyliczanie.
- Jeśli wyczarujecie mi złotą koronę – powiedziała – dostaniecie to, co leży w koszyku i tak smakowicie pachnie!

Krasnoludki się zdziwiły, skąd Jadwisia wie o ich mocy, zaraz jednak wzięły się do czarowania. Użyły w tym celu wszystkiego, co można znaleźć w kurpiowskiej krainie: gęstych mgieł otulających rankiem świat, grzybnych lasów, piaszczystych ścieżek, wijącej się nad polami Drogi Mlecznej, oślizgłych winniczków, spasionych ropuch, a także mchów i moczarów.

Niekiedy jednak siła czarów okazuje się większa niż chęć czarownicy. I tak zamiast jednej korony pojawiły się cztery! Na ten widok Krasnoludki – stworzenia oszczędne i praktyczne – postawiły Jadwisi warunek: pod koronami zamieszkają ich kuzyni, od dawna szukający w lesie domu. A że Jadwisia lubiła towarzystwo, więc chętnie się zgodziła.

W czterech koronach wyglądała bardziej królewsko niż królowa z jej snu! Odbicie w strumieniu pokazywało piękność mogącą konkurować z bajkowymi księżniczkami. Był jednak pewien problem: ciężar. Już jedna złota korona dużo waży, a co dopiero cztery! Jak tu chodzić z nimi po targu, jak spacerować po lesie albo przyjmować gości?

